

Wychodzi 2 razy dziennie

z wyjątkiem niedziel

rano o godz. 7^{1/2} i popoł. o godz. 3.

PRENUMERATA WYNOŚI:

We Lwowie:

miesięcz. 1 zł. z 2-krotną dost. do domu zł. 1.80

Na prowincyi:

rocznie 18 zł. 20 ct. z 2-krotną wysyłką 18 zł.

kwartalnie 3 zł. 80 ct.

miesięcznie 1 . 10 . 1.85

W Niemczech: miesięcznie 1 zł. 50 ct.

W innych krajach: . 2 zł.

Słowo Polskie

OGŁOSZENIA

(Inseraty)

za 1 wiersz petirowy albo jego miejsce 10 ct.

Numer pojedynczy:

We Lwowie: Naprowincyi

wydania rannego 2 ct. 3 ct.

wieczornego 3 . 4 .

oba wydania razem 4 . 5 .

Rękopisów redakcyi nie zwraca

Adres „Słowa Polskiego“

L w ó w, ulica Chorażczyzny 1. 12

TELEFON 541.

Kantor „Słowa Polskiego“ w Pałacu Hausman

Wydawca: STANISŁAW SZCZEPANOWSKI.

Z prasy rosyjskiej.

Petersb. Wiedomosti powracają do omawiania spraw polskich. W nr. 39-tym tego pisma znajdujemy artykuł znanego pseudonima Nabliudatiela (p. Markgrafskij) pt. „Z kraju Nadwiślańskiego“. Szkoda wprowadzić, że p. Nabliudatielowi trudno było przekonać w samym już tytule wyraz „Polska“ lub „Król. Polskie“, — ale artykuł sam jest w każdym razie wart zaznaczenia. P. Nabliudatiel uderza w nim ostro na te organy prasy rosyjskiej, które dziś, jak i zawsze nie przestają wietrzyć w Królestwie „intrygi i polskiej“, które ciągle jeszcze szczują i denuncyją Polaków.

Artykuł p. Nabliudatiela. o którym nadmieniliśmy w N. 49. zaczyna się temi słowy:

„Wspominałem już poprzednio, że niektórzy z publicystów rosyjskich, bezprawnie przywłaszczając sobie monopol patryotyzmu, starają się przekonać ogół rosyjski o istnieniu jakiegoś niebezpieczeństwa i o wysoce nienormalnym położeniu rzeczy w „kraju Przywiślańskim“. Twierdzą oni, że teraz w „kraju Przywiślańskim“, a w szczególności szlachta i duchowieństwo, w niezwykle ostry sposób objawiają nienawiść dla Rosyi i że takie przeciwpolskie usposobienie Polaków nie spotyka żadnego przeciwdziałania ze strony władz wyższych, rzekomo puszczaćcych bezkarnie oburzające ekscesa (?). Czasem insynuują, nawet bardzo przeżroczyście, że „polska intryga“ dąży do oderwania (!) od Rosyi nie tylko „Prywislina“, ale nawet i „kraju zachodniego“ aż po Dźwinę i Dniepr, że niebezpieczeństwo temu winna „nowa era“, zainaugurowana w polityce wewnętrznej Rosyi względem Polaków i wreszcie, że tylko dzięki przenikliwości, męstwu i gorliwości „monopolistów patryotyzmu“ niebezpieczeństwo zostało na pewien czas odwrócone.“

Naturalnie, poglądy podobne ukazują się najczęściej w *Swiecie* i *Mosk. Wied.* — i przeciwko tym dwóm organom zwraca się głównie p. Nabliudatiel.

Przytacza on szereg insynuacji, jakie się pojawiły w ostatnich czasach w tych dwóch pismach przeciw Polakom i t. zw. „nowej erze“ głównie z powodu wileńskiego przemówienia nowego zwierzchnika administracji generała Trockiego — i wykazuje, że dążeniem owych pism i im pokrewnych jest koniecznie i zawsze coś „tłumić“. Jeśli nie mają faktycznie nic do „tłumienia“, wymyślają same — jakieś nieistniejące niebezpieczeństwa. Zabawka to wysoce jest demoralizująca — i wpływa ona najniekorzystniej na opinię rosyjską.

„Wyobraźcie sobie — powiada p. Nabliudatiel —

czytelnika średniego poziomu umysłowego, mieszkającego gdzieś na ustroniu i nie czytającego innych gazet, jak tylko *Swiet* i *Mosk. Wiedomosti*. Jakie pojęcie musiałby on sobie wytworzyć o stanie rzeczy na naszych kresach zachodnich? Polskie politykarstwo podniosło głowę, władza zachwiana, panuje nowa era, rujnująca władzę rosyjską „czyniąca Rosyan poddanymi Polaków“ i przygotowująca najsmutniejsze zamieszki... W pojmowaniu zadań państwowych nad Wisłą nastąpiły jakieś nieporozumienia — i polska intryga króluje... Przeczytawszy te niedorzeczne frazesy, najspokojniejszy ze spokojnych Rosyan albo upadnie na duchu, albo zapala nienawiścią do braci Polaków, czyniących zamachy na pomyślność Rosyi“.

P. Nabliudatiel uważa za zbyt częste zbijać szczegółowo fałszywe, szerzone przez „monopolistów patryotyzmu rosyjskiego“. Walczą przeciw nim fakta i zobowiązanie stosunków. Władza karze zresztą jak dawniej „anti-rosyjskie ekscesa“, z czego jednakowoż nie wynika, ażeby obowiązkiem była nie uwzględniać potrzeb kraju, pozabawiać ludność praw, z których korzystają wszyscy poddani monarchii i „tłumić“ to, czego tłumić niepodobna, to jest naturalne pragnienie utrzymania właściwości narodowych, otrzymanych od Boga“.

To właśnie pragnienie tak naturalne — „zbawcy ojczyzny“ w rodzaju *Swiet* i *Mosk. Wied.* nazywają — intrygą i zdradą.

Denuncyując Polaków, ten odłam „patryotycznej“ prasy rosyjskiej, stawia im jednocześnie żądania wprost niedorzeczne i nie do spełnienia. Np. *Glasnost* w numerze 28-mym pisze: „Polskie inteligentne społeczeństwo tylko wtedy dowiedzie ze swej strony szczerego pragnienia pokoju i zjednoczenia, jeśli w Galicji uczyni ustępstwa w imię uczciwego i serdecznego pobratymstwa, jeśli wyrzuci się „uniatstwa“ (Unii), którą odrzuca wiele ludu rusińskiego“.

Na to odpowiada p. Nabliudatiel:

„Ależ co wspólnego mają rosyjscy Polacy z narodowością rusko katolicką i czy mogą w jej imieniu wyrzekać się Unii? I żądamy wreszcie *Glasnost*! imienia twierdzenie, że masa „rusińskiego“ (dla czego już nie „rutenkiego“) ludu odrzuca Unię?“

Konkluzja ostateczna Nabliudatiela w tej sprawie brzmi, jak następuje:

„Jest więcej, aniżeli jasnym, że wymienione gazety traktują sprawę polską w sposób więcej, niż jednostronny; że z uprzedzeniem, z góry powziętem, starają się wzburzyć rosyjską opinię publiczną i uzbroić ją przeciwko Polakom; że ze świadomością rzeczy fałszywie interpretują działalność rządową w „kraju Prywislina“, starając się rzucić

cięż na osobę stojącą na czele zarządu w tym kraju i przedstawiają położenie tamtejsze w świetle fałszywym“.

Nad takim postępowaniem mocno ubolewa p. Nabliudatiel, jako gorący zwolennik „polsko-rosyjskiego zbliżenia“.

Artykuł jego jest ciekawy, szczególnie z tego względu, że wykazuje, iż przeciwko Imeretynskiemu i jego rządowi skierowana jest ze strony rosyjskiej dość silna intryga.

Z Sejmów krajowych.

Komisyja budżetowa Sejmu czeskiego przyjęła onegdaj referat generalnego sprawozdawcy. Komisyja wnosi podwyższenie dodatków krajowych z 39 ct. na 51 ct. od 1 zł. podatku. Nadto dla pokrycia deficytu proponuje komisyja zaciągnięcie pożyczki w kwocie czterech milionów.

W Sejmie styryjskim toczyła się onegdaj zajmująca rozprawa nad wnioskiem pp. Poscha i tow. w sprawie zmiany ustawy państwowej o szkołach ludowych dla Styryi w kierunku niższenia liczby lat obowiązkowej nauki szkolnej. P. Berger (ze stronnictwa konserwatywnego) wykazywał korzyści, jakie mogłyby wynikać z tego, gdyby działwa już po skończeniu dwunastu lat zupełnie oddawała się zajęciom rolniczym. Następnie udzielił marszałek głosu p. Kalteneggerowi — i tu wywiązała się burzliwa scena, o której pokrótce wspominał nam telegram z 24 bm. Mowy jego wysłuchali tylko niemiecko-konserwatywni i słoweńscy posłowie; wszyscy inni opuścili salę. Kaltenegger zwrócił uwagę na to, że sprawa trwania obowiązkowej nauki szkolnej jest państwową, a nie krajową, że przeto ci członkowie Sejmu, którzy należą równocześnie do Rady państwa, mogliby dać najlepszy dowód swej dobrej woli, gdyby w Radzie państwa głosowali za wnioskiem Ebenhocha o ukrajowanie szkolnictwa.

Następny mówca p. Hagenhofer postawił wniosek z wezwaniem rządu, aby w Radzie państwa wniósł projekt ustawy, zawierającej odpowiednie zmiany w ustawie państwowej o szkołach ludowych.

Przemawiało jeszcze kilku posłów, poczem wniosek p. Hagenhfera odrzucono w imiennym głosowaniu 28 głosami przeciw 16. Natomiast przyjęto jednogłośnie wniosek komisji, polecający Wydziałowi krajowemu, aby na najbliższej sesji zdał sprawę o wnioskach posłów Poscha i Thunharta, ewentualnie postawił swoje wnioski, uwzględniając przytem podniesione przez wnioskodawców ekonomiczne i dydaktyczne niedostatk.

4

Wojna z mieszkańcami Marsa.

The war of the worlds by H. G. Wells. London and New-York 1897).

Lecz oto nadechodzą następne jasne, przesłaniczne noce czerwcowe... Co noc nowa gwiazda spadająca. Około północy ukazuje się meteor gdzieś na horyzoncie, a za nim snuje się zielonawa smuga dymu. Za każdym razem spada gdzieś na piaszczystą równinę, na kwarcowe skały, na łąkę, pośród drzew lasu, nowy olbrzymi pocisk, a z niego roją się, niby robactwo ohydne, potwory z Marsa, o ślepiach świecących i wilgotnych mackach. I tak aż do razy dziejszego...

Teraz całe stado potępieńców z Marsa błądzą w swych wieżach stalowych po okolicach Londynu. Wreszcie wkroczyli do stolicy Anglii.

Londyn już od dni kilku żył w gorączce. Straszne wieści nadechodziły ze wszystkich stron. Klęska się zbliżała. Tłumy zbiegów z wioski i mięscin, już nawiedzonych przez potwory z Marsa, przybywały do miasta, szerząc panikę... Pięć- czy sześciomilionowa stolica drżała z przerażenia. Zwykle życie i bieg interesów ustał. Przestano pracować; nie umiano się modlić. Coraz bardziej zbliżały się ku miastu huki armat, wciąż jeszcze bez nadziei zwycięstwa walczących z metalowymi machinami. Gazety z początku wydawały liczne nadzwyczajne wydania, opisujące najazd z Marsa, podawały środki zaradcze, zapewniające, że potwory dziś, jutro — lada dzień — zostaną zniszczone... Nikt temu nie wierzył. I gazety przestały rozwodzić się o klęsce; nareszcie nastąpił dzień, kiedy już nie wyszły wcale. Tego dnia umilkły także grzmoty armat.

A nad wieczorem, w dali, nad Tamizą, ukazały

się — niby straż przednia — metalowe banie pięciu wrogów.

— Ulla, ulla... — odzywały się ich długie, przeciągłe jęki.

Zdawało się, że chcą nastraszyć sześciomilionowe mrowie ludzkie. Zawróciły potem i znikły we mgłę. Nazajutrz rano Londyn był niemal pustynią. W nocy nastąpił *exodus*... Zostali w stolicy chyba strażnicy ostatni, chorzy śmiertelnie, kalecy ruszyć się nie mogący, pijani — i psy. Rozdzierającym wyciem witaly one najeźdźców z Marsa, gdy ci wkroczyli nazajutrz do stolicy. Miasto zostało całe utopione w czarnym, trującym gazie...

Śmierć zastąpiła miejsce życia.

I znów mamy przed sobą szereg epizodów wstrząsających. Ta Anglia, wydana na łup potworom, jest okropna.

Tłumy uciekają w najdalsze krańce kraju. Wszystkimi drogami, na zachód i na północ od Londynu, płyną masy, głodne, nagie, obłąkane z przerażenia. Rozluźniły się węzły społeczne i rodzinne. Każdy dba tylko o siebie... W głębi istot ludzkich obudziły się dzikie zwierzęta o najdzikszych instynktach. Zachować siebie — oto hasło. Mężczyźni depcą pod nogami kobiety i dzieci... Starcowi, konającemu z pragnienia, — jeszcze przed paru dniami kanclezwowi państwa — żadna dłoń nie myśli podać kropli wody. O kęs chleba staczają się walki zwierzęce. Złoto sypie się garściami po drodze, nikt go nie podnosi. Każdy rwie naprzód. W tłumie coraz częstsze są wypadki szaleństwa. Jedni rzucają się pod koła wozów, inni wołają głosem okropnym:

— Módlcie się... Sąd ostateczny!

Równie straszne rzeczy dzieją się wśród ruin, już opuszczonych przez najeźdźców. Opowiadacz, czy też bohater „Wojny światów“ błąka się wśród tej bezbrzeżnej samotności i razem z jakimś towarzyszem — pastorem, któremu umysł od tego wszyst-

kiego się pomieszał — podpatruje, ukryty w ruinach swego dawnego domu, co robią najeźdźcy z Marsa. Obserwuje ich życie — i widzi, jak się karmią, wysysając krew z istot ludzkich...

Ponure obrazy, wytwór nieokiełznanej fantazyi pisarza angielskiego, zbliżają się ku końcowi.

Zanim jednak ukaże rozwiązanie — równie nieprawdopodobne i niespodziewane, jak rzecz cała — p. Wells każe nam być jeszcze świadkiem kilku walk, stoczonych przez ludzi z potworami ze stali. Bo ludzie przecież nie przestają z nimi walczyć. W jednej z tych bitw działa, ukryte przed zabójczymi promieniami marsowych Gigantów, miazdzą jedną z podstaw metalowej maszyny, w innej — zabijają maszynistę.

Najbardziej imponującym jest opis walki ostrogowca, przeznaczonego do niszczenia torpedów, „*Thunder Child*“ (Dziecię gromu) z trzema wrogami...

Rzecz dzieje się na wybrzeżu morskiem. Tłumy oczekują tu na statki, przewożące je na ląd stały... Dziesiątki statków, przeładowane ludźmi, już odpływają. Naraz na brzegu, zdala, ukazują się głowy trzech stalowych olbrzymów... Widocznie przybywają one, ażeby przeciąć drogę do ucieczki tłumom nieszczęśliwych. Maszyny wchodzą na wodę i zbliżają się na swych olbrzymich trójnogach, ku statkom... Popłoch nie do opisania. Lecz oto wysuwa się na ich spotkanie „Dziecię gromu“. Zginie — ale spełni obowiązek. Zaczyna się walka. Bez strzału, zmyliwszy uwagę trzech potworów, ostrogowiec już jest pomiędzy nimi. Czarny gaz oślepia i morduje jego załogę. Zabójcze promienie rozpalają blachy pancerne do czerwoności... Ale on idzie naprzód, siłą napędza. Jego ostroga miazdży jedną maszynę i uszkadza drugą — i w tej samej chwili okręt wylatuje w powietrze.

Maszyny marsowych najeźdźców cofają się. Bezbranny tłum uratowany. (C. d. n.)

Epilog tej rozprawy rozegrał się na następnym posiedzeniu, o czym już doniosły telegramy. Chodziło — jak wiadomo — o użycie przez p. Kalteneggera nieparlamentarnych wyrazów „gemeiner Kerl“.

Sejm górno-austriacki obradował onegdaj między innymi, nad poprawą doli nauczycieli ludowych. Wnioski w tej sprawie przekazano Wydziałowi krajowemu, z poleceniem zdania sprawy. Na zapomogi dla nauczycieli ludowych uchwalono 15.000 zł. Namiestnik hr. Puthon wyraził imieniem Rady szkolnej krajowej żal, że w następnej sesji ma być przedłożone Sejmowi jedynie sprawozdanie, a nie odpowiedni projekt ustawy, wobec czego podwyższenie płac nauczycieli ludowych nie będzie mogło nastąpić nawet w r. 1899.

Sejm dolno-austriacki przedstawia chwilami obraz podobny, jak wiedeński parlament podczas ostatniej sesji. Oto próbka tonu, jaki w tym Sejmie panuje, głównie dzięki usilnym staraniom antysemitów:

P. Philippovich stawia wniosek nagły, aby p. Schneidrowi wyrazić naganę za jego wywody w sprawie ludowych kursów uniwersyteckich.

Marszałek krajowy protestuje przeciw pewnemu ustępowi wniosku, krytykując go postępowanie przewodniczącego. Zdarza się wprawdzie, że podczas wzburzenia umysłów w sali ktoś przemawia w ostrzejszym tonie i padają ostrzejsze słowa, ale przewodniczącemu jest zawsze przykro, gdy musi robić użytek z przysługującej mu cenzury. Marszałek uprasza przeto posłów, aby uważali na to, że są kolegami, oraz by traktowali sprawy rzeczowo, a nie osobiście.

P. Philippovich uzasadnia swój wniosek i powiada, że należałoby już raz ustanowić pewne granice między rzeczowymi wywodami, a obelgami. W Sejmie zapanował ton, którego nie ścierpiano nawet w szynkowni.

W sali zrywa się burza. Słychać okrzyki: Ty parobku żydowski! I to ma być człowiek dobrze wychowany!

Marszałek przywołuje mowę do porządku.

P. Philippovich kończy swą mowę tem, że Sejm musi oświadczyć, iż nie przyłącza się do sądu jednostki.

P. Loquay powiada, iż takich wywodów Izba nie powinna dłużej cierpieć. Zarzuty poprzedniego mowcy są tak impertynenckiej natury, że mowca uważa za stosowne wnieść przejście do porządku dziennego nad nimi.

Marszałek przywołuje mowę do porządku.

Wniosek p. Loquaya Sejm przyjmuje.

P. Gregorig woła: Precz z żydami! Przyjaciele Zoli!

Marszałek przywołuje p. Gregoriga do porządku.

P. Gregorig woła: Kompania Zoli!

Namiestnik Kielmansegg odpowiada następnie na kilka interpelacji, lecz w sali panuje taka wrzawa, że słów jego trudno dosłyszeć.

Działo się to na posiedzeniu porannem. Na wieczornem powtórzyły się podobne rzeczy, aż wreszcie pewna część posłów zdekompletowała Sejm i marszałek musiał zamknąć posiedzenie.

Mimowoli narzuca się porównanie z naszym Sejmem, którego poważne, spokojne i rzeczowe obrady tak korzystnie odróżniają się od pracy parlamentarnej tych „wyższych kultur“ ojców narodu w Sejmie wiedeńskim.

Sprawy bieżące.

We Lwowie, 26 lutego 1898.

Bardzo pesymistyczny pogląd na stan rzeczy w Czechach ogłosił dziś wice-marszałek Sejmu czeskiego, umiarkowany Niemiec, Juliusz Lippert. Głos wice-marszałka Sejmu czeskiego jest sam w sobie bardzo poważną enuncyją polityczną; dodaje jej wagi okoliczność, że Juliusz Lippert należy do znakomitości w dziedzinie historii kultury światowej. Wielkie dzieła „O początku religii“ o „historii duchowieństwa“, o „historii rodziny“, wyrobiły Lippertowi głośnie imię w nauce.

Rozważając stan umysłów w Pradze, przychodzi J. Lippert do wniosku, że sesja sejmowa czeska stanowi pogorszyła sytuację polityczną. O zbliżeniu stronnictw wrogich, o porozumieniu mowy nie ma.

Czesi i Niemcy po 6-tygodniowej pracy w Sejmie, stoją przeciw sobie jak dwa wrogi, dla których nie ma porozumienia — jest tylko rozdział dalszy możliwy. Radykalni Czesi i konserwatywni feudali, wielmoże czescy, dążą do samoistnego państwa czeskiego. Wszystkie sprawy i potrzeby chwili — ustąpiły sprawom i potrzebom przyszłości, która się dziś już w Pradze eskontuje.

Nie ma umiarkowania i skłonności do ustępstw po stronie niemieckiej. Lippert sam to przyznaje. Szowiniści germańscy doprowadzają do tego, że jak dzisiejsza depesza z Pragi donosi, Wolff i 5 innych radykałów germańskich nie wstali ze swych siedzeń, kiedy marszałek krajowy wzywał Sejm, aby przez powstanie zechciał wyrazić akt hołdu cesarzowi.

Opozycja niemiecka Schoenererowców zwraca się przeto wprost przeciw państwu, przeciw Austrii i dynastji.

Lippert kończy rzecz swoją wskazaniem, że wojna czesko-niemiecka nie może być zażegnana w Sejmie pragskim. Na ziemi czeskiej ugodą nie

przyjdzie do skutku. Rozwiązanie leżeć może jedynie w Radzie państwa w Wiedniu.

Pytanie, czy Niemcy mają zdecydować się na doprowadzenie parlamentu wiedeńskiego do stanu normalnego, aby w tym parlamencie szukać oparcia dla swych interesów, nie może być zdaniem Lipperta rozstrzygnięte przez Niemców czeskich. O tem najważniejszym w tej chwili zagadnieniu rozstrzygnie reprezentacja parlamentarna wszystkich Niemców w Austrii.

* * *

Ogłoszony został wczoraj bilans handlowy monarchii austro-węgierskiej za rok 1897. Ogólny rezultat przedstawia stały wzrost wywozu i stały wzrost przywozu. Wartość przywozu wynosiła w r. 1897 w ogóle 760 mil. zł. Wartość wywozu w roku ubiegłym wynosiła 773½ mil. zł.

Rok 1897 był rokiem klęski rolniczej, dowodem wzrost przywozu środków pożywienia, których w r. 1896 przywieziono wartości 166 mil. zł., a w r. 1897 przywieziono wartości 200¾ mil. zł., równocześnie zaś eksport zboża i bydła spadł z 243 mil. w r. 1896 na 226 mil. w r. 1897.

Eksport cukru zmniejszył się o 13½ mil. zł. Eksport fabrykatów wzrósł w poprzednim okresie z lat 1895 na 1896 o 40½ mil., w r. 1897 spadł o 3½ mil. zł. głównie z powodu zaburzeń na Bałkanie i wojny grecko-tureckiej.

Złoto w kruszcu wzrosło. Przybyło 33.668 kilogr. złota wartości blisko 50 mil. zł. Przywóz srebra był znacznie słabszy.

* * *

Anglia zbroi się na olbrzymią skalę.

Reforma armii lądowej w Anglii jest na porządku dziennym parlamentu angielskiego. Minister wojny Lansdowne proponuje podwyższenie armii o 22.000 żołnierzy zniżone lata służby ochotników z 7 na 3 lat, które każdy zwerbowany rekrut musi odslużyć, pomaża znacznie żołąd i zamierza utworzyć odrębną klasę rezerwistów piechoty, którzy za wypłaceniem pełnego żołdu zobowiązują się po upływie pierwszego roku służby w rezerwie na każde zawołanie stanąć do stałej służby. Koszta tej reformy wynoszą według obliczeń *Timesa* 1,646.000 funtów szterlingów w r. 1898, a według *Daily News* dochodzą do 2 mil. funt. rocznie.

Piechota ma być uzupełniona 6 nowymi batalionami, a stan batalionu podniesiony o 80 ludzi, tak żeby osiągał w czasie pokoju każdy batalion siły 800 ludzi. W artylerji tworzy rząd 15 nowych baterji, a kawalerja ma być wzmocniona 10 nowymi szwadronami. W ten sposób siła zbrojna lądowa Anglii podniesioną być ma do 180.000 ludzi.

Równocześnie uzbraja i ulepsza Anglia swą flotę, aby być na każdy wypadek przygotowaną. W arsenale w Woolwich pracuje 20.000 robotników dniem a 8.000 robotników nocą. Wszystkie inne arsenały wojenne i prywatne fabryki okrętów pracują od miesięcy gorączkowo dzień i noc.

* * *

Po ciężkiem wyczerpaniu finansowem na utrzymanie floty i siły zbrojnej Dania zamierza wycofać się z polityki dalszego zbrojenia się, czuje, że jej siły ekonomiczne nie wystarczą i cofa się w zacisze państwa neutralnego.

Król duński Chrystyan IX odniósł się do mocarstw europejskich z propozycją, aby ogłosiły Danię, jako państwo neutralne, podobnie jak Holandya, Belgia i Szwajcarya. Mocarstwa myślą też przyjąć przychylnie i mają zwołać w tym celu międzynarodową konferencję.

Sprawa objęcia dostawy wyrobów krawieckich dla obrony krajowej.

Wczoraj odbyło się walne zgromadzenie Stow. przem. krawców i kuśnierzy. Zgromadzenie zagał przełożony korporacji p. Bol. Mikuliński, wyrażając żal, że członkowie uchylają się od brania udziału w zgromadzeniach i zmuszają tem samem do chwytania się ostatecznego środka t. j. przeprowadzenia uchwał przy jakimkolwiek komplecie, jak to miało miejsce wczoraj.

Po odczytaniu sprawozdania z ostatniego walnego zgromadzenia i zamknięcia rachunków za r. 1897, przystąpiono do nader żywotnej dla krawców sprawy objęcia dostawy wyrobów krawieckich dla wojska.

Pierwszy zabrał głos p. Mikuliński. Zaznaczył on, że przełożenie już od szeregu lat starało się o dostawę dla wojska, ale przeszkadzały mu w tem kontrakty pozawierane z zagranicznymi dostawcami. Obecnie udało się przełożeniu korporacji zyskać u ministerstwa obrony krajowej część robót za ogólną sumę 11.184 złr. 46 ct. Obliczywszy nader skrupulatnie koszt tej roboty, przyszło przełożeniu do przekonania, że zysk będzie wynosił 385 zł. 37 ct. Odliczywszy od tego stemple na kwity w sumie 105 zł. wynosiłby czysty zysk na 15.236 parach spodni, 1236 bluz, 110 ułankach i 250 spodni do butów, (tyle bowiem zamówiono) 280 zł. 37 ct. (!)

Zysk to bardzo mały, dlatego też p. Mikuliński wzywał zgromadzonych, by się głęboko nad tem zastanowili, czy objąć tę robotę i skąd wziąć funduszy na te dostawy.

W sprawie tej zabrał głos p. Niemczynowski. Krawcy są o tyle w lepszym położeniu — mówił — że u nich nie poszczególnie jednostki, jak u szewców, ale korporacja cała robotę tę obejmuje.

Korporacja będzie sprawiedliwie rozdzielać robotę między ogół członków i to w takim czasie, kiedy innej roboty nie ma, a ministerstwo będzie miało gwarancję, że robota dobrze będzie wykonana.

Następnie p. Niemczynowski stawia następującą szereg wniosków:

1) Przyjąć należy dostawę robót dla obrony krajowej.

2) Poleca się korporacji wyłożyć na cele dostawy z własnych funduszy 2500 zł. i udać się do Tow. dostaw dla armii, aby udzieliło reszty funduszu, potrzebnego na ten cel.

3) Korporacja ma zorganizować zarząd składający się z 5 członków.

4) Korporacja urządzić ma wspólny lokal dla krawalni, magazyn i wspólną pracownię.

5) Wszyscy członkowie korporacji mają prawo otrzymania tych robót, ale muszą dać odpowiednią gwarancję.

6) Kierownik a ewentualnie dwaj kierownicy tych robót mają pobierać honorarium w wysokości 50 zł. miesięcznie.

7) Zysk ma być podzielony na 3 części; 1/3 dla członków korporacji, 1/3 dla Tow. dostaw dla armii, jako procent od włożonego kapitału i dla korporacji, a 1/3 dla administracji.

Po odczytaniu tych wniosków, zabrał głos p. Flaczyński i wezwał zgromadzonych, ażeby nie wahali się, ale stanowczo przyjęli dostawę dla wojska. Z początku będzie strata, ale będzie przynajmniej to zadowolenie, że kraj obejmuje tę robotę, która mu się słusznie należy. „Pokażmy wojsku, że i my potrafimy zrobić dobrze, a potem będą większe zamówienia, a tem samem i zyski“.

Po krótkiej dyskusji na ten temat, przyjęto wszystkie wnioski.

Do zarządu weszli: pp. Mikuliński, Jachimecki, Flaczyński, Segeta i Baczynski.

Na wniosek p. Wydrycha uchwalono utworzyć konsoreyum dla objęcia wszelkich robót krawieckich. Do komisji, która ma się zająć tą sprawą, weszli panowie: Wydrych, Dumyn, Baczynski, Gürsching i König.

KRONIKA.

Hr. Kazimierz Badeni opuścił z rodziną Nizzę i udał się do Rzymu na kilkotygodniowy pobyt; do kraju powróci z końcem marca.

Ks. Paweł Tymkiewicz, katecheta gr. kat. szkół ludowych w Jarosławiu, wyjeżdża w tych dniach na stały pobyt do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.

Obchód jubileuszu Leona XIII. Wczoraj w ratuszu odbyło się posiedzenie w sprawie obchodu jubileuszowego Leona XIII. Omawiano poczynione przygotowania. Skarbnik p. Ierski zawiadomił zebranych, że stan kasy wynosi na razie 755 złr.

Sekcja uroczystości podała do wiadomości, że kantata prof. M. Soltysa, do której słowa dorobił ks. Czencz, jest już gotowa, zaś Seweryna Duchńska przysłała wiersz.

Obchód odbędzie się ostatecznie w niedzielę, dnia 6 marca. Korporacje i stowarzyszenia zbiorą się o 9-tej z rana ze sztandarami w ratuszu, z kąd w pochodzie wyruszą do Katedry. O godzinie 10-tej odbędzie się uroczyste nabożeństwo, przy współudziale obu arcy-pasterzy, łacińskiego i ormiańskiego. Chór „Lutni“ odśpiewa mszę Kurpińskiego. Program obchodu w ratuszu jest następujący. Przemówienie prez. miasta; odczyt prof. Lityńskiego; kantata, odśpiewana przez chór „Lutni“; przemówienia reprezentantów klas robotniczych, oraz odśpiewanie pieśni Bethovena przez połączone chóry stowarzyszeń robotniczych.

Na prośbę komitetu, sklepy w czasie nabożeństwa i pochodu mają być pozamykane. Każdy z uczestników poranku otrzyma broszurkę z żywotem Ojca św., ozdobioną jego wizerunkiem; w broszurce tej będzie też pomieszczonym wiersz Sew. Duchńskiej. Wieczorem na nastąpić iluminacja miasta.

Towarzystwo wzajemnej pomocy urzędników gminy miasta Lwowa zamyśla przystąpić do kardynalnej zmiany swojego statutu. Sprawami towarzystwa zarządza dotąd wydział złożony z 8 członków i 4 zastępców, wybieranych corocznie. Ponieważ funkcyj i praw tych zastępców nie są należycie określone, ponieważ dalej nie jest wykluczonem, że kiedyś z wyborów wyjdzie może wydział zupełnie nowy z tokiem interesów całkiem nieobeznany — przeto obecny wydział, dbały o należyty rozwój towarzystwa, postanowił zaproponować walnemu zebraniu członków zmianę statutu, która ma zapewnić sprawom towarzystwa większą stałość.

Taką zmianą ma być zniesienie instytucji zastępców wydziałowych, a natomiast powiększenie liczby wydziałowych do dwunastu; dalej postanowienie, że wydział ma być wybierany na 3 lata i że każdego roku po 4 członków jego przez losowanie ustępuje, a w ich miejsce wybiera się nowych. W ten sposób wyrobi się ciągłość administracji, która wielce zbawienne okazać się musi dla towarzystwa, liczącego 176 członków i posiadającego przeszło 18 tysięcy majątku.

O losie tych projektów zadecyduje walne zgromadzenie zwołane na 20 marca b. r.

Kurs majsterski w rzemiośle krawieckim ukończyli w Wiedniu między innymi dwaj Galicyanie, stypendyści ministerstwa handlu i przemysłu pp. Cyryl Dumyn ze Lwowa i Marcin Kolek z Łańcuta.

TYGODNIK

artystyczno-literacki.

Stanisław Przybyszewski: „Homo sapiens“.

I.

Przybyszewskiego sława i rozgłos przyszły do nas niedawno. Nie dalej, jak w roku zeszłym obszerniej pisał o nim dopiero po raz pierwszy u nas — Szukiewicz. Przed tem tulał się po pismach tylko wzmianki, czerpane z korespondencji zagranicznych, nie przynoszące jednak nic takiego, co mogłoby rzucić światło na talent i osobistość, będącego dziś w Berlinie *en vogue* pisarza.

Polak, piszący po niemiecku — to dla nas zjawisko, niewątpliwie, ciekawe i to Polak nie uczony, ale artysta, rzucający w świat tom za tomem jaskrawe, fantastyczne romansy, utkane z subtelnych drgań duszy, a dające nam przedsmak czegoś śmiałego, a nieznanego jeszcze. Przybyszewski nowemi chodzą drogami i nowym kłania się bogom, a ci, którzy go wielbią i za nim idą, włożyli mu już na skronie arcypaplauską mitrę i dali w rękę berło przewodnika dekadentyzmu.

„Książę nowej myśli“ mieszka nad Sprewą. Przy boku żony, skandynawki, „boskiej Duchy“, jak ją sam nazywa, pracuje, pisze, gra precudownie preludya i nocturny Szopena i na zabój hula w otoczeniu zwolenników swoich i uczniów. Młody, ma już podobno poczet spory adeptów, którzy gotowi są pójść za nim w ogień i zginąć w obronie prawd i ideałów, głoszonych przez mistrza.

Część tych prawd i ideałów zawiera właśnie trylogia p. t. „Homo sapiens“. Złożyły się na nią trzy jednotomowe powieści: „Ueber Bord“, „Unterwegs“ i „Im Malstrom“.

W „Ueber Bord“, rozgrywa się tragedia serc ludzkich i mózgów. Evik Falk, młody, pełen talentu literat, który miewa genialne wloty myśli i któremu życie sława i wziętość zaczyna się już uśmiechać, ma serdecznego przyjaciela z lat dzieciństwa i młodości, towarzysza z ławy szkolnej, którego kocha bez pamięci — Mykite, malarza. Życie rozłączyło tych dwóch przyjaciół. Mykita wyjechał do Paryża, gdzie dla jego artystycznej duszy łatwiej było o pokarm, Falk został w Berlinie. W chwili, kiedy się romans zaczyna, przyjaciele po długim niewidzeniu spotykają się znova. Malarz wraca z wycieczki do stolicy świata, zdrów, wesół i pełen jak najlepszy nadziei. Wierzy w przyszłość i ma w piersi ogromną miłość dla narzeczonej, pięknej Izy, Francuzki, która z nim razem do Berlina przybywa. Za parę tygodni ma się odbyć ślub. Rzecz naturalna, Falk, jako przyjaciel najlepszy, zostaje Izie przedstawiony natychmiast i natychmiast ulega jej czarowi. Podobnie Iza, mimo przywiązania i miłości, jaką otacza Mykite, nie może się oprzeć uczuciu dziwnego uroku i zagadkowej potęgi, jaką z postaci i ze słów Falka bije na nią nieznanem dotąd wcale wrażeniem. Tak się zaczyna romans.

Węzeł dramatyczny, silnie na samym wstępie zadzierzgnięty, wikła się w dalszym ciągu coraz bardziej. Walka uczuć z obowiązkiem, przybiera tytaniczne rozmiary i troje ludzi szarpie się na łańcuchach popędów, szaleje z bólu, z niebiańskich ekstaz przechodzi w rozpaczliwe i głuche szamotanie się z głosem sumienia i z namiętnością... Mykite, który się domyśla miłości pomiędzy narzeczoną a przyjacielem, pożera zazdrość; zatapia mu ona szpony swoje w serce i w mózg, aby mu nie dać ani jednej już chwili spokojnej, ani jednego momentu wiary do samego końca, aż do smutnego rozwiązania. Iza opiera się, póki może, ale uczucie wielkiej miłości ogarnia ją całkowicie, dawny kochanek staje się dla niej wstrętnym, natomiast Falk wyrasta w jej oczach do rozmiarów pół-boga, przed którym gotowa jest osunąć się na kolana i zebrać o okrucieństwa. Budzi się w niej kobieta-niewolnica, kobieta, w której płeć dominuje nad duszą. A Falk? Ten biegły, subtelny psycholog, który zna duszę ludzką na wylot i który przeanalizował siebie i przestudował do najcieńszego włókna — staje zdumiony wobec tego, co się w nim dzieć zaczyna, cierpi, jak nigdy jeszcze nie cierpiał, odpycha od siebie myśl o posiadaniu Izy i ucieka, aby nie uleść pokusie. Wraca jednak, wraca po dniach paru, zdecydowany na wszystko, na zdruzgotanie szczęścia, życia, miłości tego biednego chłopca Mykity; jakoż druzgoce go moralnie, poczem nieszczęśliwy malarz kulą czaszkę sobie rozsada, bo żyć dłużej i więcej cierpieć nie potrafił.

Tak się kończy romans. Widzimy, że nie zdumiewa on ani budową, ani intrygą, ani żadnym z tych efektów, którymi współczesna technika pisarska tak łatwo rozporządza. Jest to opowiadanie o strukturze bardzo prostej, niezłożonej, o akcyi słabej i jedynie ma w niem wartość wspaniała analiza stanów duszy ludzkiej. O tem jednak później powiemy. Tymczasem powieść rozwija się dalej w „Unterwegs“.

Falk, zostawiwszy Izę w Paryżu, przybywa na czas pewien do domu matki, pocziwiej staruszki, która nie wie jeszcze o jego małżeństwie i pragnie ożenić syna z prześliczną, młodzianką Marit, córką sąsiada, starego Kauer'a. Marit, która kochała Falka

już oddawna, bo przedstawiał się jej on *so ehrlich, so souverain*, jak nikt inny, zakupowała msze, poświęcała piątki i soboty, modliła się przed obrazem Matki Bożej, ażeby mogła jeszcze zobaczyć kiedy swojego najlepszego, kochanego Falka. I Bóg próby jej wysłuchał. Falk niespodziewanie zjawił się w rodzinnych stronach.

Pierwsze spotkanie z Marit wywiera na nim kolosalne wrażenie. To *reines geschlechtstaubes Kind*, jak ją nazywa, ma w sobie jakiś nieokreślenie mistyczny urok i kojarzy się u niego z zapachem róż, cudownym i delikatnym, który nozdrza chciwie, zapamiętałe chłona... Budzi się w nim pożądanie i oto z całą świadomością zastawia się na tę prostą, naiwną duszę. Sączy w nią jad zwątpienia, obala jej wierzenia i ideały, wdzierza się do jej serca, narzuca jej swoją wolę i miazdzy ten kwiat ledwie z pączka rozwinięty, brutalnym dotknięciem rozsalałych namiętnością ramion... W burzliwą, ciemną noc, kiedy wicher łamie drzewa w ogrodzie, a pioruny biją z łoskotem, Marit oddaje mu się bezwiednie, ulegając jego przemocy w przystępie zmysłowego omdlenia i upojenia.

Falk wśród nocy i zawieruchy wraca do domu, rozgorączkowany, chory. Mózg jego podlega halucynacyom, a rozumowania jego idą takim szlakiem, jak ten szalejący orkan — bezwzględne, żywiołowe, straszne.

Na drugi dzień rano siłą zwleka się z łóżka, bo tkwi w nim przekonanie, że ma, że musi Maricie coś powiedzieć. Jak błędny idzie do białego dworku, zjawia się tam i w rozmowie z Maritą rzuca jej w twarz straszne wyznania, że jest żonaty z kobietą, którą kocha nad wyraz, z Izą Périer!...

Marit, przybita tem, co się stało, nie ma siły do wytrwania. Czuje się zrujnowaną, zniszczoną. Nie jej nie zostało, nic... „*Kein Vater, keine Mutter, kein Gott!*“ Szuka śmierci i błądzi nad brzegiem jeziora. Chwilę pasuje się z sobą, wreszcie rzuca się w toń wodną i ginie.

Falk zburzył już drugie istnienie ludzkie...

W Malstrom, po powrocie do zdrowia, osłabiony ciężką chorobą, w której pielęgnowała go zawieszona do łoża umierającego żona, Falk dawne prowadzi życie. Mieszka teraz w Berlinie, obok kobiety, którą ubóstwia, z którą ma dziecię, ładnego chłopca, przedstawiciela linii zstępnej Falków. Ale jego nieokielzana żądza, jego zmysłowość i łatwość, z jaką zdobywał kobiety, popchnęły go w objęcia młodej Polki, Janiny Kruk, która kochała go oddawna. Stosunek, jaki się pomiędzy nimi zawiązał, dał początek nowemu istnieniu — małństwu, które przedstawia niesłubną linię Falków. Brat Janiny, Stefan Kruk, rewolucjonista, siedzi obecnie w więzieniu, ale skoro wyjdzie stamtąd — niewątpliwie znajdzie drogę do Izy i powie jej o wszystkim. Falk jest tego pewien i myśl ta trapi go i odbiera mu spokój. Zdenierowany, szuka ukojenia w alkoholu, którego nadużywał już dawniej, ciągle, bo nie rozumiał, jak człowiek, mający mózg, może się bez niego obejść.

W tej części romansu akcja jest nieco żywsza. Falk spotyka na swej drodze ciekawe typy dawnych znajomych i przyjaciół: ideologa Kunickiego, Czerskiego, który z zapalem poświęca się agitacji anarchistycznej, malarza Gudzkiego, który, opuszczony przez kochankę, odbiera sobie życie z rozwągą i na chłodno, Olgę, młodą, zapaloną dziewczynę, obracającą się w kołach rewolucyjnych i, jak każda — zakochaną w nim po uszy.

Przy tem wszystkim nie usypiają wyrzuty sumienia. O ukojenie trudno, coraz trudniej... Niewysłowione są cierpienia, które wypełniły teraz po brzegi duszę Falka. Czując ogromny ubytek siły i obawiając się przyszłości, postanawia on wyjechać razem z Izą, którą jedną prawdziwie, po dawnemu i do szaleństwa kocha.

Tak... wyjadą, zamieszkają w Islandyi, gdzieś na brzegu morza, w małym, rybackim domku i tam Falk powróci do siebie. Muszą to zrobić, tembardziej wobec faktu, że są obecnie zrujnowani, bo pieniądze, — cały posag Izy — poszły już dawno. Falk popierał strejk i wydał znaczne fundusze na cele agitacyjne. Wszystkie zapasy wyczerpały się. Musi zabrać się teraz do pracy wielkiej, żywotnej — pisać, pisać jak najwięcej. Czuje, że stworzy duże dzieło...

Tymczasem wstręt do ludzi i trwoga dziwna, nieokreślona — pożerają go i z nóg zbijają coraz bardziej. W rozdrażnieniu Falk daje w twarz Kunickiemu, który go szpiegiem nazwał i ma z nim pojedynek na pistolety. Cieszy się na myśl, że może szczęśliwie zginie w tym pojedynku, ale — los chce inaczej, na placu zostaje przeciwnik. Falk wraca do domu i teraz pragnie już wyjechać jak najprędzej, zaraz. W domu jednak niema nikogo... Podczas jego nieobecności był tu Kruk, który się wydostał z więzienia i powiedział Izie o wszystkim. Iza poszła z nim do Janiny i stwierdziwszy prawdę tych słów, które przyjęła początkowo za oszczerstwo, — natychmiast wyjechała do Paryża, przy pomocy adwokata Falka i jego przyjaciela, Geislera. Dumna jej natura zdrady przenieść nie mogła, wołała stargać wszystko, niżeli dłużej z człowiekiem, znienawidzonym od tej chwili, pod jednym mieszkaw dachem. Falk jest bardzo, bardzo nieszczęśliwym, ale ma przy sobie Olgę, którą go kocha i to ocala go od obłąkania.

Rozpacz w nim przycicha, świadomość się budzi i z ironicznym okrzykiem „*Vive l'humanité!*“ postanawia zacząć życie na nowo. Razem z Olgą wyjeżdża do Czerskiego i tam we troje na polu społecznym pracować będą dla wydziedziczonych, dla przyszłości...

Tak się kończy *Homo sapiens*.

Z. D.



Rozmaitości.

P. Erazm Majewski, zajmujący się gorliwie archeologią, dla której niejedną już położył zasługę, wydał obecnie w odtwie z kwartalnika *Wista* pracę swą p. t. „Wskazówki do konserwowania przedmiotów starożytnych“ (wykopalisk). Jest to treściwy podręcznik, zasługujący na rozpowszechnienie, gdyż zaznajomienie się z zawartymi w nim, a dostępne wyłożonemi radami, mogłoby uchronić niejedną z naszych zabytków starożytnych od zagłady, co się, niestety, aż nazbyt często u nas zdarza.

Nowe wydanie. Znanego dobrze starszemu pokoleniu dziełka Kazimierza Góralskiego (Wł. L. Anczyca) „Dzieje Polski w dwudziestu czterech obrazkach“ ukazało się nowe wydanie nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa. Powitają je mile młodzi i starzy, bo warte tego.

Przekłady z polskiego. W r. 1897 ukazało się w *Russk. Starin*. tłumaczenie broszurki Kraushara „Ofiara terroryzmu“, dokonane przez p. F. Dąbrowskiego. Wszystkie pisma zwróciły wówczas uwagę na masę elementarnych błędów, jakich dopuścił się p. Dąbrowski (naprzykład cesarzową Józefinę nazywając królową, markizów — margrafami i t. p.). Obecnie broszurka ta ukazała się w osobnej odtwie. W tłumaczeniu tegoż p. F. Dąbrowskiego ukazał się tom I. „Zupełnego zbioru pism Sienkiewicza“. Wszystkich tomów ma być sześć (!). Wydawca bije 5.100 egzemplarzy.

Literatura rosyjska przyswoiła nader wiele plodów piśmiennictwa polskiego nowożytnego. Wśród licznych przekładów odznaczają się ścisłością i zaletami stylowymi prace pani Anny Sacharow, która przełożyła na język rosyjski kilkadziesiąt książek polskich. Na liście tych tłumaczeń znajdujemy T. T. Jeża „Handzię Zahornicką“, „Z burzliwej chwili“ etc.; Prusa trzy tomy opowiadań i nowelek, „Lalkę“ i „Emancypantkę“; Sienkiewicza „Na marne“, „Rodzinę Polanieckich“ i trzy tomy utworów drobniejszych; dalej nowele, opowiadania i studia Łętowskiego, Rutkowskiego, Spasowicza, Chmielowskiego, Bałuckiego, Kraszewskiego, Meyeta, Mańkowskiego, Brolisa, Dygasińskiego, Sewera, Konopnickiej, Elizy Orzeszkowej („Marta“, „Sylwek Cmentarnik“, „Mirtala“, „Bene nati“ i cztery tomy nowel), Ostoi, Hajoty i Teresy Jadwigi.

Herman Sudermann napisał nową sztukę p. t. „Stein unter den Steinen“ (Kamień pod kamieniami).

Nowa opera Mascagniego „Iris“ będzie wystawiona po raz pierwszy w teatrze rzymskim Constanzi w kwietniu.

Twórca „Cyganeryi“ Giacomo Pucini wykończył nową operę, do której libretto zaczerpnął z „laski“ Sardou. Opera ta ukaże się najpierw w Rzymie.

La Bohème, 5-aktowa opera Leoncavalli, na onegdajszym pierwszym przedstawieniu w operze wiedeńskiej, doznała entuzjastycznego przyjęcia. Kompozytora wywołano kilkanaście razy. Nie tak entuzjastycznie, jak publiczność, zachowuje się jednak krytyka, która nazywa nową operę raczej dobrą operetką. Przedstawienie, kierowane przez dyrektora Mahlera, było pod każdym względem wzorowe. Znakomicie wywiązały się z swoich ról panna Renard i p. Hesch.

We Włoszech w r. z. wystawiono 74 nowych oper i operetek. Z oper największym powodzeniem cieszyła się „Cyganerya“ Leoncavallo.

Jak co roku, w ciągu postu przybędzie do Warszawy rosyjska trupa dramatyczna i da 12 przedstawień w teatrze Wielkim.

Panna Landowska, młoda pianistka i kompozytorka z Warszawy, koncertowała z dużym powodzeniem w Berlinie, w sali Bechsteina.

Odpowiedzialny redaktor:

Stanisław Rossowski.